

Piotr
Wojciechowski



Kochanek królowej roju

Drugi zbiór
opowiadań
warszawskich

Warszawa 2023

Wystroili się w kwiaty i gwarzą pszczołami
Dwie lipy duże – wczoraj ich nie było.
Dużo tych wczoraj przeszło ponad nami
Jak potoki nad miasta bajeczną mogiłą.
Wędkarz nie liczy minut, trwa przy swojej wodzie
Więc liczyć lata po co? – w urzędach je liczą.
Nie ufaj liczbom, bo gdy je roztrząśniesz,
Wszystkie się jawią liczbą pojedynczą.
Wieczór i pełnia. Samotność i miłość.
Zamienić im imiona i nic się nie stanie.
Samotny wieczór nad świata bajeczną mogiłą
I miłość pszczół do lipy. Wieczne miodobranie.

*Motto z własnych niewydanych wierszy
(te dwie lipy rosną na Bernardyńskiej, obok bloku 2).*

PIERWSZE

PROM NA KANALE ŻERAŃSKIM

Miał na sobie żółtą pidżamę. Kiedyś podobną nosiła aktorka w filmie *Sprzątaczkę kosmosu*. Ze swojego dzieciństwa nie pamiętał takiej. Były białe koszule nocne po braciach.

– To ja, Bork Eastfield. Wszystko w porządku – powiedział do ludzi, których zobaczył w prostokącie światła za szerokimi dwuskrzydłowymi drzwiami. – To ja!

Mówił do nich i był pewny, że ma prawo tu być – w wielkim mrocznym pokoju, na niskim łóżku, w ciepłe kołdry. Kobiety, która tu z nim leżała niedawno, już nie było, ale przecież był pewien, że do niej także ma prawo. Nie zaszło nic między nimi, ale był pewien, że to się może zdarzyć, bo on, Bork Eastfield, ma prawo, jest na swoim miejscu.

– Co pan mówi, panie Budak? – zawołał jeden z mężczyzn stojących na klatce schodowej.

Usiadł na łóżku, ściągnął z grzbietu bluzę od pidżamy. Żółta, wzorek w słonie, ryby, kwiatki. Jak dla dziecka. Tak, nazywał się Budak. Ale nazywał się także Bork Eastfield. Pidżama należała do tego drugiego nazwiska. Oparł łokcie na kolanach odzianych w żółte spodnie i głowę pochylił nisko na skrzyżowane ramiona. Zamknął oczy, aby odzyskać coś, co mu się wymykało. Może ludzie, których zobaczył w obrysie framugi, byli tu, aby mu zabrać. Zabrać to, co utraci.

– Wszystko w porządku, Bork Eastfield. Masz prawo. Tu jest twoje miejsce – powiedział szeptem, nie otwierając oczu, nie podnosząc głowy. Wiedział, że matka jest mu życzliwa. Ta pani, matka kobiety, z którą leżał, do której

miał prawo. Ona, matka, pewnie była tu najważniejsza – piętro niżej czy piętro wyżej. Jakaś Dama Kapituły, Główna Księgowa, Pani Profesor Prowadząca Projekt – dla Borka zjawiała się jak ktoś promieniejący ciepłem, potwierdzający życzliwie, że ma prawo tu być. Gdyby udało się ją odszukać... Sięgnął po telefon – leżał na podłodze przy łóżku. Powoli przeglądał listę kontaktów, szukał tej ważnej osoby, nie wiedząc, jak ją zapisał – imię, czy miała imię?

Telefon ożył. Kto dzwoni?

– Dostałem telefon do pana od Ryszarda Siewnego. Nazywam się...

– Z kim pan chce mówić?

– Z inżynierem Budakiem. Nazywam się Dymitr Machno.

– Pomyłka.

Ten jakiś Machno zadzwonił ponownie i Budak niechętnie podjął rozmowę na tematy inżyniersko-techniczne. Kompletny kierat znaleziony na złomie – tylko złożyć. Po co? Jakies bezsensowne projekty. Może to zrobić. Ma ludzi, ma prawo wystawić fakturę. Ale to. To co? Nie tak miało być. Miał być kimś szczęśliwym, miał się nazywać Bork Eastfield. To cudzy telefon. W swoim miał z pewnością numer do Pani Naczelnej, Pani Redaktor Naczelnej, Kontrolerki Głównej. Żółta pidżama to jej dowcip, wieloznaczny, ale...

Włożył bluzę, wsunął się pod kołdrę. Tu lepiej. Trzeba się bronić. Wrócić do snu. Kierat ze złomu? Chcą go znowu zamknąć w kierat. Na klatce schodowej zgasło światło, tamci poszli. Ciepło, cicho, tylko winda czasem zgrzytnie. I chce się sikać. Nie zaśnie, za nic. Jawa była twarda jak papier ścierny, nieprzyjazna. Nie było jak wrócić, nie dało się dogonić minionej nocy. Nie mógł już wywęszyć kobiety,

która przecież leżała obok niego tak niedawno. Pamiętał jej zapach i ciepło.

Jeszcze chwilę mógł leżeć i pamiętać. Jako Bork Eastfield. Przypominał sobie wizytę w letnim domu Pani. Spodziewał się, że zastanie tam jej córkę, ale u Pani był kochanek, Twarz z Pierwszych Stron Gazet. Duży, tegi mężczyzna. Kiedy wszedł, pokojówka podawała tym dwójgu podwieczorek. Niezręczne to było wejście, bo w szortach i bluzie motocyklowej narzuconej na niezbyt świeży podkoszulek, z hełmem w ręku. Wszedł od strony ogrodu, przez werandę i otwarte na oścież drzwi. Zostawił motocykl na podjeździe, okrążył dom, bo od frontu okna były ciemne. I wszedł. Ani ani się nie zdziwili, żadnego gestu przestrachu. Tylko pokojówka cofnęła się i wychlapnęła nieco śmietanki na srebrną tacę.

- Bork Eastfield - przedstawił się.

- Wiem, pan inżynier - uśmiechnęła się Pani. - Niech pan siada z nami. Zaraz będzie nakrycie.

Siedział potem z nimi długo, plótł coś o swoim nazwisku, o przytułku w Richmond, znowu o swoim nazwisku. Skąd. To pewnie było zmyślane, ale kochanek Pani pytał życzliwie i uprzejmie, jegomość jak góra, łysy, rumiany, siwobrody, w białej koszuli, spod której wyglądały szpakowate kudły.

Wpatrzony w jego zielonkawę, podpuchnięte oczy musiał snuć opowieść o tym, że protestanckie miłosierdzie w sekretariacie przytułku nadawało imiona zgodnie z dzielnicą i porą roku znalezienia dziecka. Eastfield znaczyło „znaleziony wiosną we Wschodniej Dzielnicy”, co innego znaczył Sutberg - miejscem znalezienia była Dzielnica Południowa, porą - późna zima. I tak dalej, Eastwood, Norhaus, Westmoor... Suttend.

- A imię Bork? - spytała Pani, która wychodziła i wróciła właśnie, przebrała się ze szlafroka w szarą wieczorową suknię. Dopiero teraz zobaczył jej zwisające prawie do ramion, złote kolczyki obsypane granatami. - To imię skandynawskie...

- Raczej litewskie. Od jakiejś ich świętej rzeki - odpowiedział. I teraz, po paru dniach, już nie był pewny, czy zmyślił to wtedy na poczekaniu, czy wiedział.

Tamci mieli jechać na koncert, więc wstał z białej skórzanej sofy, musiał się pożegnać, wściekły bezsilnie, że nie umiał spytać o córkę. Piękną córkę Pani - kobietę, do której miał prawo. Pożegnał się i wyszedł przez werandę i ogród. Wypił z kochankiem Pani parę kieliszków i teraz jak dureń kilometrami pchał ciężki motor poboczem asfaltu. Potem był pewien, że wypocił alkohol, że już późno, że skręca na boczne trakty. Siadł, odpalił i pojechał. Ale dokąd.

Od frontu był sklep z używaną odzieżą Tani Armani. I po drugiej stronie kosmetyka, solarium i studio paznokci Hebe. W pierwszym podwórzu elektryk samochodowy. W drugim podwórzu Stomil-Firestone-Pirelli - wulkanizacja, oponiarstwo. W trzecim dwa hangary wiecznie zamknięte i trzeci pomiędzy nimi - przeważnie zamknięty, z szyldem „Inż. Wojtek Budak - kowalstwo, ślusarstwo, konstrukcje”. Niżej numer telefonu. I jeszcze niżej smołą na żelaznej bramie napisano „fabryka smutku”. Wyłożone starymi płytami chodnikowymi przejście obok tego hangaru prowadziło w dół, na łąkę ze stołem i ławkami pod pochyloną gruszą, na niekoszonej nigdy łąkę z dwoma starymi jabłoniąmi nieco niżej. Łąka opadała w dół, na porośnięte sitowiem brzegi kanału łączącego miasto z jeziorem.

Był czerwcowy rzeński poranek. Znalazł klucze do hangaru ukryte w donicy z usychającym oleandrem, otworzył

bramę, wtoczył motor na jego miejsce – między oplem a ciotrenem. Mijając kanał i podnośnik, zobaczył, że na po-
plamionym olejem i towotem betonie leżą ułożone jak do
montażu części kieratu: rama podstawy, ośki, duże i małe
zębatki, uchwyty dyszla, nawet okucia orczyka. Żeliwo było
skorodowane, ale bez spękań i ukruszeń. Wrócił więc, po-
chylił się i dotknął metalu. On sam go tu położył. Inżynier
Wojtek Budak przywiózł kierat półciągarówką i położył.
Nie sam, bo za ciężkie. Sam, właśnie sam. Przypominał so-
bie godziny roboty, motanie stalowych linek i łańcuchów,
mruczenie napędu windy do demontażu silników. On sam,
inżynier Budak, przywiózł to tutaj ostatniego dnia maja.
Umęczony do ostatniej kropli brudnego potu. I był tu. Kie-
rat do oczyszczenia.

Czyścił potem żeliwo pompą do piaskowania przez ty-
dzień. Któregoś południa przyjechał Dymitr Machno
z siostrą. Oglądali oczyszczone już części, tryby skąpane
w baku z naftą. Pili piwo i rozmawiali leniwie o monta-
żu, o podstawie. Beton niedobry. Przydałyby się mocne po-
byku kłocce dębowe. Pili piwo i było cudownie leniwie, bez
pośpiechu. Wojtek Budak wiedział dlaczego. Bo jeszcze ani
słowa o kasie. Były plany, zatwierdzone wszystko, pieczętki
z dzielnicy, z wydziału architektury, z wodociągów. Rozło-
żone plany na stole za hangarem, pod gruszką. Butelkami
piwa umocnione na czterech rogach, bo wiatr chce wyrwać.
I dalej, z łokciami na planach – że beton nie, bo to ma być
z epoki, jak wojska imitacyjno-rekonstrukcyjne z szabłami.
Kłocce dębowe minimum dwadzieścia na dwadzieścia. To
się kupi. Dymitr wziął na siebie kupowanie tych kłoców.
Jego siostra, w żółtym podkoszulku do czarnych dżinsów,
zgrabniutka, powiedziała, że pojedzie z nim do tartaku.

Potem dzwoniła i śmiała się:

- Panie Wojtku, pan nie wiedział, że jest coś takiego, Tartak Wyrazów? Bo tu jesteśmy z Dmytro. Za Częstochową aż, kierunek na Opole. Tu piłują słowa. Jak bonie dydy, mają piły do cięcia liter, wyrazów, zdań. Nie, no, żarty. Ale jest przy torach na skrócie drogowskaz na Tartak Wyrazów, bo wioska się nazywa tak śmiesznie: Wyrazów. Kupujemy dęby z Wyrazowa i przyjeżdżamy... Dmytro się pyta, czy można do pana zwalić do hangaru. Ojej, na pewno się zmieści! Przyjedziemy, zrobimy grilla, karkóweczkę, paluszki lizać.

Dotykał skorodowanego żeliwa i myślał, jak będzie. Znał przyszłość mimochodem i niepewnie. I tak za dużo. Nie przepadał za rzeczywistością od jakiegoś czasu. Ale i przeszłość rozsypywała się, ta noc, nazwisko Eastfield, imię Bork. Wolał myśleć o córce Pani Głównej Negocjatorki niż o siostrze Dymitra. Bo ta dziewczyna, siostra Dymitra Machno, mogła przyjechać w żółtych szortach i czarnym topie, też byłoby dobrze. Wiatr porywał plany Kanału Żerańskiego, dokumenty rewitalizacji promu - mogło się zdarzyć w maju czy czerwcu, że deszczyk by je pokropił. A konie? Konie mają kręcić kieratem, nawijać linę. Ale nie widzi koni, przyszłość jest dziurawa. Konie przyjdą, to pewne. On sam zaprojektował przekładnie. Wajcha w lewo, lina nawija się na bęben i zarazem odwija z niego, ciągnie prom na stronę ulicy Magicznej, wajcha w prawo, konie idą, jak sły, a bęben obraca się w drugą stronę, prom sunie od Magicznej w stronę Białoleckiej.

To wszystko, aby dokonała się kulturowa rekonstrukcja promu nieczynnego od dziesięcioleci. Kursował jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, napisali w lokalnej gazecie. A czy wtedy istniał już Kanał Żerański? Pójdzie tam w jakiś jesienny dzień obejrzeć, pomierzyć.

Wybrać miejsce, w którym wkopie się dębowe dyle – są już porządnie nasączone impregnatem, dotrwają do nowych lat sześćdziesiątych. Tam wtedy spotka Tę, Do Której Ma Prawo. Ale jakie prawo może mieć człowiek do innego człowieka? Żeby jeszcze na zicher znać jej imię... To bez znaczenia, jeśli ona z wahaniem pozna go jednak, uśmiechnie się niepewnie.

– Pan Bork Eastfield, prawda?

A może inaczej? To wszystko będzie się zdarzać, aby przy montażu kieratu Bork Eastfield doczekał, aż przyjdzie Ta, Do Której Miał Prawo. Zobaczy go z daleka i jak ciągnięta supermagnesem podejdzie do umazanego smarami faceta w roboczych portkach z szelkami na nagim torsie. I spyta:

– Bork, powiedz, co tu się robi?

– Skąd pani wie, jak się nazywam? – tak odpowie Bork, ale to pytanie będzie znaczyło coś innego: „Dziewczyno, dlaczego ja nie znam twojego imienia?”.

Przyszłość nie była tak klarownie jasna, przewidywalna. Ranek też było niejasny, mglisty, z zimną mżawką. Kiedy przyjechał do warsztatu, zaczęło się przejaśniać. Za hangarem, na skraju niekoszonej, pochyłej łąki, przy stole pod gruszą zastał kochanka Kierowniczkki Całości. To już następnego dnia albo może pojutrze. Przyszłość coś tam jednak mogła szepnąć, skoro zostawił klucze ze smyczą w zamku hangaru, nie dokończył otwierania klódek, tylko tknięty promieniem przyszłości zaszedł za hangar.

Pod gruszą na ławie drewnianej siedział Ten z Pierwszych Stron Gazet. Ubrany za ciepło jak na środek lata: w ciemnoszary flauszowy płaszcz i odpowiednio ciemniejszy pilśniowy kapelusz. Do tego wyszło słońce i świat odbity w kropelkach na liściach chwastów i źdźbłach trawy udawał, że jest lepszym światem, niż jest.